

STASZIC

K U R I E R



Wstęp od redaktora

Drodzy Czytelnicy,

Czy początek i koniec są sobie przeciwstawne, czy może tylko dopełniają się w cyklu, który nieustannie nadaje rytm naszemu życiu? W najnowszym numerze odkrywamy tajemnice zawarte w momentach otwierających i zamykających, w chwilach, które bywają równie inspirujące, co przerażające. Początek i koniec. Nic dodać, nic ująć. Zapraszam do lektury.

Iga Śliwska

Redakcja

Redaktor naczelny: *Iga Śliwska, Antotni Rutkowski (zastępca)*

Artykuły: *Gabriele Walczak, Anna Pachocka, Wiktoria Baranowska, Hubert Sędzicki, Bartłomiej Stypiński, Milena Kwiatkowska, Raven from the Darkness, Szymon Rojek*

Korekta: *Dagna Czubla, Julia Kamińska, Gabrysia Ossowska, Antoni Rutkowski*

Grafika: *Lena Badylak, Erika Kiknavelidze, Oliwia Łukaszewicz*

Skład: *Iga Śliwska*

Spis treści

1. Szczyty, namiot, herbata - po co to? 500 km przez Beskidy..... 2
2. Jeannette McCurdy..... 7
3. Początki nowych nawyków..... 10
4. Niespodziewane zakończenia..... 11
5. Wakacje, wakacje i po wakacjach 12
6. Półproste 15
7. Labirynt bez końca 18
8. Staszic Ocenia 21

Szczyty, herbata, namiot - po co to? 500 km przez Beskidy

Mógłbym być w domu. Ale nie jestem. Jestem to ja jednak przede wszystkim głodny. Woda jednak uparcie nie chce się gotować. Chciałbym też już nie musieć chodzić, ale rozbiliśmy się naszym namiotem dosyć głupio, bo daleko od stołów i sanitariatów, dlatego muszę iść ten kawałek tam i z powrotem za każdym razem, gdy zabrać coś z plecaka lub do niego odłożyć. A cały czas czegoś zapominam. No nie chce mi się tu być. Nie mówię, że nie wiadomo jak cierpię, jest po prostu niewygodnie, ale wiedziałem, że tak raczej będzie. Zmęczony pierwszym dniem wędrówki, zwyczajnie zastanawiam się, i powątpiewam: czy faktycznie było warto, czy nie lepiej byłoby pojechać na prostszy, pewniejszy i bardziej przyjemny wyjazd. Pamiętam jak kilka lat temu byłem w bazie namiotowej w górach w grupie osób w moim wieku. Bazowy po przywitaniu nas, dodał: "Co się liczy w górach? Czy zdobywanie szczytów, czy o ładne widoki? Nie. Zgoda, one też są ważne. Ale w górach liczą się ludzie." Brzmi to sensownie, jednak ja tego raczej nie doświadczyłem - myślę w tamtym momencie.

Jest 16 czerwca. Autobus będzie odjeżdżał chwilę po północy, czyli mam jeszcze kilka godzin na spakowanie się.

- Na spokojnie. Wszystko jest pod kontrolą. Jak czegoś zapomnę, to też sobie poradzę, w ogóle nie ma się czym denerwować... - mówię do siebie, zestresowany tym, że czuję, że zaczynam się trochę stresować. Zostaje niecała godzina do wyjścia. Przypominam sobie, że miałem, się jeszcze umyć przed wyjściem.

- A czy niczego nie zapomniałem? - zastanawiam się. - A sztućce?!

- Mam, mam. Sztućce mam - przypominam sobie.

- A ręcznik?!

- Mam. Na pewno. Pamiętam, pakowałem - potwierdzam sobie, że wszystko sprawdziłem.

- A nie wyjmowałem go przy pakowaniu kosmetyczki?!

- Tak, ale spakowałem go z powrotem.

- Na pewno? Gdzie? Jest tam, czy go nie ma?

- Jest. Chyba. No chyba jest - sprawdzam. - No tu go nie ma. Gdzie jest ten ręcznik? No, aghh! Przed chwilą go miałem! - wyrzucam rzeczy z plecaka, rozglądam się. Leżał obok.

Jestem w towarzystwie dwóch przyjaciół, sprawdzonych już na wspólnych wyjazdach: Staśka i Szymona. Wsiadamy w autobus z Zachodniego. Nie jest łatwo spać. Gdy dojeżdżamy do Sanoka, wydaje mi się, że naprawdę dotarliśmy na jakiś koniec, że dookoła nic nie ma. Wsiadamy w PKS-a, który jednak jedzie w to otaczające "nic". Busik, droga, przystanki. Woda kapie przez dziurawy dach. Siedzę i patrzę za okno. Wytwory cywilizacji do pewnego momentu rzedną na krajobrazie, potem jest ich po prostu mało. Jest mało dróg, mało domów. Są pola, lasy. Teren staje się coraz bardziej górzysty. Co chwila wydaje mi się, że trasa zaraz skończy się i dziwię się, że jeszcze jest gdzie jechać dalej. Wreszcie docieramy do końca drogi, do kropki. Czyli do początku naszej drogi.

Jesteśmy w Wołosatem, w Bieszczadach. Kropka oznacza początek Głównego Szlaku Beskidzkiego. Jest to szlak ułożony tak, by podążając za jego czerwonymi oznaczeniami przejść przez dużą część polskich Beskidów (po kolei: Bieszczady, Beskid Niski, Beskid Sądecki, Gorce, Beskid Żywiecki,

Beskid Śląski) i dotrzeć do drugiej kropki w Ustroniu. Trasa jest naprawdę ciekawa, z małą ilością asfaltu, prowadzi głównie mniejszymi lub większymi ścieżkami przez tereny różnego typu. Szlak ma 500 kilometrów długości i przy tym 22 000 metrów podejścia. Można go przechodzić w obie strony. Przez 100 lat jego istnienia, obchodzone w tym roku, stał się on najbardziej kultowym szlakiem długodystansowym w Polsce i zgromadził sporą społeczność ludzi go przechodzących, prowadzących schroniska przy jego przebiegu oraz czuwających nad jego promocją i infrastrukturą. Ile zajmuje pokonanie GSB? To oczywiście zależy. Rekord ustanowiony przez ultramaratończyka Kamila Leśniaka to 93 godziny i 42 minuty, o 2 minuty lepszy niż wcześniejszy należący do Romana Ficka. Podobno ten czas jest wyraźnie do pobicia, jeśli trafi się na idealne warunki pogodowe. Myślę jednak, że nie leży on w możliwościach żadnego z czytelników. Górską Odznakę Turystyczną PTTK na poziomie diamentowym, czyli najwyższym, otrzymuje się za jednorazowe przejście szlaku w maksymalnie 21 dni i to był też nasz cel na ten wyjazd. To takie tempo osiągalne dla większości osób w niezłej kondycji i z podstawowym doświadczeniem z chodzeniem po górach. Po odpowiednim przygotowaniu, myślę, że dość ambitnie będzie celować w ok. 14 dni normalnego marszu z dużym plecakiem. Uznana praktyką jest przechodzenie szlaku fragmentami, w trakcie kilku wyjazdów. Jest to opcja szczególnie dla tych, którzy nie mają szans na jeden długi wyjazd. Na większości trasy jest dużo miejsc do spania i można dostosowywać długość drogi na bieżąco każdego dnia.

Dość chętnie w naszej trójce przyjęliśmy pomysł, żeby przejść ten szlak. Chcieliśmy gdzieś ciekawie, aktywnie wyjechać. GSB brzmiał jak dobre wyzwanie, które ma swoje ustalone reguły i do którego trzeba się będzie trochę przygotować. Przyznam się: z tymi przygotowaniem to tak raczej nie wyszło. Mieliśmy różne pomysły. W poniedziałki jeździć do szkoły z naładowanym górskim plecakiem i wracać pieszo do domu - udało się to zrobić raz. W weekendy za to spacer z obciążeniem po lesie lub podejścia pod ursynowską Górkę Kazurkę - wyszło chyba z dwa razy. Na mniej niż miesiąc przed wyjazdem kupiliśmy miesięczne karnety na siłownię. Chcieliśmy subtelnie obrazić wszystkich bodybuilderów, przychodząc na nią tylko po to, by robić nogi. Wspólnie byliśmy jeden jedyny raz. Każdy z nas jakoś tam ćwiczył indywidualnie, ale nie było to to, co na początku zakładaliśmy. Na dworcu stanęliśmy trochę wyrwani z wiru codzienności, bez tego pożądanego poczucia kontroli nad przebiegiem nadchodzących wydarzeń. Później zmęczeni długą nocną podróżą, ale i podtrzymywani przez lekki dreszczyk niepewności o to, co nam ta droga przyniesie i czy uda nam się dotrzeć do jej końca, każdy z nas ze swoim plecakiem, ruszyliśmy ku górcom.

Modlimy się na początek dnia i idziemy. Pierwsze chwile wędrówki na łagodnym podejściu schodzą nam na gadaniu o głupotach. Na górze zostajemy uraczeni co najmniej zadowolającymi widokami Połoniny Bukowskiej i trochę większym towarzystwem. Niezłomnie witamy się z mijanymi ludźmi, czasem musząc decydować w ułamkach sekund czy powiedzieć "cześć" czy "dzień dobry". Od paru osób, które wyraźnie przejrzały nas dzięki rozmiarom naszych plecaków, dostajemy pytanie czy idziemy GSB, a po naszym potwierdzeniu, życzenie powodzenia.

- Ach, wy młodzi jesteście, dacie radę - to też powtarzająca się kwestia.

Po drodze zahaczamy dodatkowo o Tarnicę. Na razie idzie nam się dobrze, chociaż mimo, że to krótka trasa, zaczyna nam się dłużyć. Chcemy wcześniej dotrzeć na miejsce i wypocząć. Podczas schodzenia zaczynam czuć kolana. Nie jest to dobry znak. Bardzo bym się zdenerwował jakbym przed taką pierdołą miał wracać do domu. Stasiek i Szymon namawiają mnie, żebym oddał im część rzeczy do niesienia. Robię to niechętnie, ale daję sobie przemówić do rozsądku i idę dalej z lżejszym plecakiem.

Docieramy do Ustrzyk Górnych, w parku narodowym zostawiając jedynie nasze ślady i kierujemy się na pole namiotowe. Gdy już tam jesteśmy wyraźniej daje o sobie dać zmęczenie. Mnie dotyka zwątpienie w sens tego wyjazdu, które już opisałem na początku tego tekstu. Robimy wszystkie rutynowe czynności: rozciąganie, gotowanie obiadu, pójście do sklepu, mycie się, rozmawianie przez chwilę. Wszystko trochę nieskładnie, niewydajnie. O 21:00 kładziemy się spać.

Następnego dnia wstajemy późno po ciężkiej nocy na niewygodnym gruncie. Jedzenie śniadania, pakowanie się, składanie namiotu, mycie zębów, rozgrzewanie się, pomodlenie się. Ruszamy dalej. Szybko okazuje się, co jest największą przeszkodą w chodzeniu. Nie zmęczenie kondycyjne ani mięśniowe, tylko odciski. Ból przy każdym stawianiu stopy, nawracający jeszcze mocniej po postoju. Mnie akurat żadne odciski nie dokuczają. Chłopaki idą wolniej, często muszą na nich czekać. Trasa jest trudna. Przechodzimy przez połoniny: Caryńską i Wetlińską, na obie trzeba wejść, z obu trzeba zejść. Przypominamy sobie jak to jest musieć się przemóc, gdy brakuje tchu i iść dalej. Dochodzimy do Przystanku Smerek. Czujemy się miło przyjeźci. Wieczorem po rozbiciu namiotu, zjedzeniu obiadu i umyciu się, siedzimy przy stole w barze, ładując telefony. Piję herbatę z miski, bo nie spakowałem sobie kubka. Można tu kupić wszystko, co mogłoby się przy chodzeniu po górach: plastry na odciski, mapy, buty, kijki trekkingowe. Czuć, że to miejsce tym żyje. Cieszymy się spokojem i odpoczynkiem po wysiłku. Jutro mamy mieć krótką trasę.

Nie mając dużo do przejścia, maszerujemy spokojnym tempem pozwalającym na utrzymywanie rozmowy. Trochę się ociągamy, robimy długie postoje. Jesteśmy jednak w Bacówce pod Honem jednak dość wcześnie. W recepcji przyjmuje nas Patryk. Pytam się, czy jest tu może telewizor, żeby obejrzeć mecz fazy grupowej Euro.

- Nie, nie, telewizora to nie ma. Ale mogę wam dać swojego laptopa to sobie obejrzycie - odpowiada. Ale miło! Siedzę z Szymonem w schronisku oglądając Niemcy-Węgry. Stasiak w tym czasie męczy się z robieniem placków w garnku na butli z palnikiem. Udaje nam się nawiązać kontakt z osobami, które przewijają się przez jadalnię. Jeden chłopak idzie GSB w drugą stronę jak weteran, śpiąc sobie w hamaku tam, gdzie się akurat znajdzie. Do bacówki tak sobie wpadł posiedzieć i pogadać.

- A nie boisz się niedźwiedzi? - pyta się go Szymon.

- Nie.

Poznajemy też Maćka, pana w wieku już takim zdecydowanie pracowniczym, ojcowskim. Nawiązujemy rozmowę, w moim odczuciu pozbawioną poczucia dystansu, w toku której okazuje się że on też idzie GSB, a nawet do Wołosatego jechaliśmy tym samym PKS-em. Mamy czas, więc tak siedzimy, kręcimy się, rozmawiamy i milczymy. Wieczorem siedzę przed namiotem w półmroku, oczarowany atmosferą i słucham dochodzących ze schroniska dźwięków gitary i śpiewu piosenek Starego Dobrego Małżeństwa.

W tamtym czasie moje postrzeganie tego, co można nazwać chodzeniem po górach, zaczęło się przeobrażać i wypełniać. Zaczęłam podnosić trochę wzrok znad kamieni i częściej patrzeć na ludzi, z którymi po nich idę. Szymon wyrwany z nocy ze snu słyszy kroki. Trochę otepiałemu wydaje się, że to niedźwiedź. Będąc wciąż w ich krainie, mamy z tyłu głowy świadomość, że możemy któregoś z nich spotkać. W ciągu dnia idziemy przez las, Nagle coś się przed nami rusza w krzakach. Stajemy jak wryci

adrenalina skacze. Na prawo od szlaku zbiega łąnia, na lewo jej cielę. Wypuszczamy powietrze z płuc. Ale co robić? Daleko odbiegły, czy może matka będzie chciała przebiec do cielaka? Może trochę pohłasować? Kończy się tak, że trójka chłopaków stoi pośrodku lasu i każdy coraz głośniejszym krzykiem pewne słowo. Dzień okazuje się być dla nas fizycznie trudny. Staśka bołą stopy, Szymon ma nudności. A mnie się nic nie dzieje. Musimy się często zatrzymywać. Droga nam się przedłuża i docieramy do Komańczy później niż planowaliśmy. Prawie nie rozmawiamy. Jesteśmy źli na świat. Za co? Za to, że jesteśmy głodni. Mamy zamiar nocować przy schronisku za wioską, ale przystajemy zrobić sobie zdjęcie z tablicą oznajmującą, że 100 kilometrów już za nami. Wtedy z Bazy K85 macha do nas Maciek, który nie lenił się tak jak my przy wstawaniu rano i ruszył kilka godzin wcześniej. Przychodzi gospodyni i namawia nas, żebyśmy się u niej rozbili.

- Jest czajnik? - pytamy.

- Jest normalna kuchnia.

Patrzmy po sobie: ooo zesz ty! Więcej nam nie trzeba mówić. Ta kuchnia to cud. Po obiedzie humory szybko wracają.

Wędrówka nabierała swojego rytmu. Na tyle na ile to możliwe przyzwyczailiśmy się do chodzenia. Przywykliśmy do rozstawiania namiotu, gotowania na palniku, prania i zakładania mokrych ubrań następnego dnia. Wszelkie udogodnienia niesamowicie zmieniały nam nastroje. Gdy za 40 złotych od osoby po raz pierwszy spaliśmy w łóżku i to będąc jedynymi gośćmi, więc mając na wyłączność całą przestrzeń wspólną z łazienką, kuchnią, jadalnią i telewizorem, czuliśmy się, jakbyśmy właśnie zrobili deal życia. Naprawdę - przez pierwsze 15 minut chodziłem i nie mogłem przestać się śmiać. Do zabierania namiotu na szlak różni ludzie podchodzą różnie. Znacząco zwiększa to wagę plecaka, zabiera czas, utrudnia odpoczynek. Niektórym namiot może być zbyt wymagający i odbierać radość z wyjazdu, wtedy oczywiście lepiej jechać bez niego. Nie ukrywam, że jego główną zaletą dla mnie jest to, że jest taniej. Nie chodzi o sam fakt posiadania większej ilości pieniędzy, a trochę o to, że silenie się na mniejsze wydatki jest kolejnym wyzwaniem, urozmaiceniem. To jest piękne w chodzeniu z własnym domem na plecach. Mając namiot i sprzęt do gotowania jesteś niezależny. Nikt ci nie musi nic dać, żebyś był w stanie funkcjonować. Ale może i będzie to dla ciebie dużą przyjemnością. Docenia się wtedy to, ile szczęścia można przyjąć od drugiego człowieka. Zdecydowałeś się to wziąć bez przymusu, bo chciałeś, więc wyrażasz mu za to wdzięczność. Życie wyjazdowe jest monotonne. Jego czas jest wypełniony trudnościami, których nie ma na co dzień w domu. Na wyprawie trzeba dbać o pranie, pakowanie się każdego dnia, planowanie trasy... Ma się zaspokojoną potrzebę problemów, ale takimi niezbyt dotkliwymi problemami, a jednocześnie jest się trochę znudzonym. To coś czego mi osobiście bardzo brakuje poza wyjazdami. Ten stan pozwala rozwinąć w sobie wrażliwość na małe piękne rzeczy, które dzieją się dookoła.

Któregoś dnia siedzę na werandzie drewnianej Chaty Józefa. W środku jest otwarta apteczka, kosz na wymianę rzeczy między wędrowcami czy też samoobsługowy sklep działający na zasadzie zaufania. Podoba mi się, bo to wszystko jest urządzone tak pod ludzi. Na sąsiedniej działce od godziny sarna siedzi sobie w tujach, niczym się nie przejmując. Czytam książkę gospodyni tego miejsca, pani Marty Zimy, w której opisują ona historię swoją i innych ludzi, z którymi zetknęła się w górach. To takie proste, bliskie opowieści. Zaglądam potem do wpisów innych wędrowców. Wszystkich są takie radosne, przepełnione zauroczeniem podróżą. Przez liście czereśni przebijają się ciepłe promienie słońca.

Do otwartości na innych też się przyzwyczailiśmy. Ze strony wędrowców zawsze można liczyć na rozmowę, zazwyczaj miłą. Gospodarze niektórych schronisk naprawdę zdają się prowadzić biznes bardziej z pasji niż dla zarobku. Będąc w górach w wielu momentach miałem wrażenie, że ludziom, którzy tu mieszkali, udało się stworzyć - czy może utrzymać - świat po prostu bliższy doskonałości. Taki świat, w którym istotne jest to, co naprawdę ma wartość. Może to tylko błędna ocena, jedynie z punktu widzenia kogoś, kto się o ten świat otarł? Być może. Trzeźwość skłania ku takiej odpowiedzi. Chociaż ciężko mi w nią szczerze uwierzyć. Z pewnością wiele takiego pokoju przydałoby się zawrzeć w codzienności.

Pozostała część podróży nie była pozbawiona dalszych przygód. Zaskoczyło mnie, że mimo dobrego wejścia w stały tryb funkcjonowania, wciąż wchodziliśmy w różne stadia wyjazdu, a i inne myśli były tymi dominującymi. Raz najbardziej zajmowało nas martwienie się o to, czy uda nam się uniknąć burzy, innym razem zastanawianie się czy ukończenie szlaku powinno być dla nas powodem do dumy, a końcu wyczekiwanie, kiedy wreszcie skończymy. Tak, dłużyło nam się, a nie mogliśmy wracać wcześniej, bo nie było pociągów. Ale to dobrze. Byliśmy zmuszeni jeszcze na spokojnie przetrwać całą treść wyjazdu i przyjąć to, co było wartościowe, a nie silić się na jak najszybsze skończenie szlaku. Tak więc po 20 dniach chodzenia, 500 kilometrach i 17 makaronach z sosem (czasem też Favitą - rarytas!), dotarliśmy znów do kropki, tym razem w Ustroniu. Spuściliśmy trudy naszej podróży Wisłą i poszliśmy na kebaba. Potem już pociąg i do domu. A tam opowiadanie.

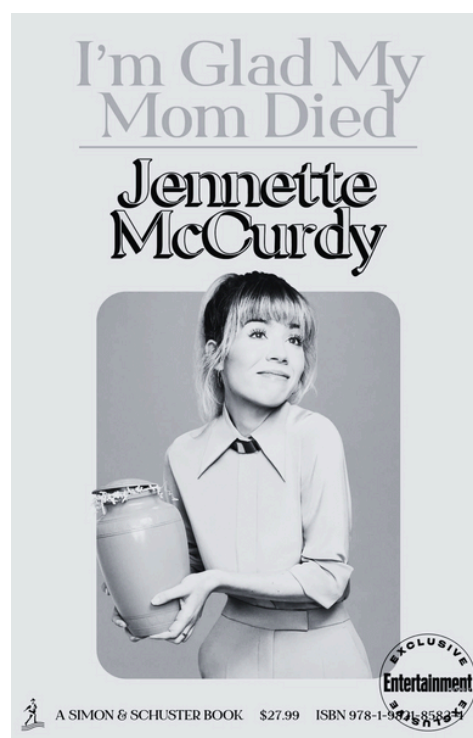
Był początek i był koniec. Szlak jest zaliczony. Ale oczywiście chodzi o to, co było pomiędzy, o drogę. Zastanawiając się, czy było warto, zadajemy sobie pytanie o to, czy stanęliśmy na końcu jako lepsi ludzie niż na początku lub przynajmniej z zasobem doświadczeń, który daje nam do tego potencjał. Myślę, że dość powszechnie przyznajemy wędrowce wartość także duchową. Czyni ona namacalnym to wszystko, co decydujemy się wziąć na siebie, pragnąc osiągnąć wyznaczony cel. Ciężko jest nawet mówić o wędrowce, bez zawierania w jej opisie jednocześnie treści o głębszym znaczeniu, bo przecież wszystkie te słowa: droga, kamienie, szczyt, plecak czy ognisko, są symbolami. W zderzeniu ze wszystkimi realiami fizycznie przemierzanej drogi, uczymy się o naszej życiowej drodze. Przed tym wyjazdem z chodzenia po górach wyciągałem raczej lekcje o przewycięzaniu trudności. Że by się ogrzać po zimnej nocy, najlepiej zacząć się ruszać. Że by wejść na szczyt, trzeba kazać sobie iść dalej, gdy brakuje tchu. Także, że po wysiłku przychodzi wynagradzająca satysfakcja. Myślę, że jednak w trakcie tej drogi udało mi się wyciągnąć lekcje o wartościach. Że nic nie jest tak cenne jak relacje. Dla mnie jedna szczególnie.

Nie pozostaje mi nic innego jak zachęcić Was, do podjęcia wędrowki. Jest to coś, co mnie w te wakacje szczególnie przyciągnęło, zafascynowało i dzielę się tym przeżyciem, bo może Was to też spotka. Szukam już pomysłów na następne wakacje. Planuję na razie nowiutki szlak długodystansowy przez krainę krwiożerczych wampirów i niedźwiedzi - Via Transilvanica. Trochę to będzie kosztować, więc jeśli znacie coś, kogoś, to wiecie... Jeżeli uważacie, że moje opisane tutaj historie były nudne, to jedźcie stworzyć lepsze. Albo na GSB (101-lecie też brzmi ładnie), albo gdzieś indziej. W spokojne miejsce, z historią i z ludźmi, trzymając telefon wyłączony i jedynie potwierdzając co wieczór mamie, że żyjecie.

Szymon Rojek

Początki i końce dziecięcych gwiazd Nickelodeon

Nickelodeon to amerykański kanał telewizyjny, który swój przełom zaliczył na przełomie lat 90' i 2000. Miał być źródłem czystej rozrywki dla dzieci i młodzieży. Zyskał rzeszę fanów i stał się wrotami do sławy i sukcesu dziecięcych aktorów. Niestety, również tę wytwórnę dotknęły powszechne w showbiznesie problemy dotyczące młodych gwiazd. Faworyzacja, presja, molestowanie seksualne. To tylko niektóre ze skandali, jakie ją spotkały w ostatnich latach. Nieco innym, bardziej złożonym przypadkiem, jest historia Jennette McCurdy. Jennette urodziła się w 1992 roku, w Garden Grove w Kalifornii. Swoją karierę zaczęła w bardzo młodym wieku. Gościnnie występowała w takich programach jak „Mad TV”, czy „Malcolm in the Middle”. Uwagę producentów przyciągnęła jej ogromna, niespotykana wręcz u dzieci posłusznosc. Dziewczynka wyróżniała się umiejętnością płakania na zawołanie, była chwalona za świetną grę negatywnymi emocjami. Wszyscy twierdzili, że Jennette jest do tego zawodu stworzona. Przełomem w jej karierze było otrzymanie roli w serialu wytwórni Nickelodeon, „iCarly”, który zadebiutował w 2007 roku. Jennette grała w nim Sam, zbuntowaną, charakterną nastolatkę, przyjaciółkę głównej bohaterki. Rola ta zagwarantowała jej światową sławę i tytuł jednej z najbardziej rozpoznawalnych twarzy wytwórni. Oprócz tego, dziewczyna zaprzyjaźniła się z Mirandą Cosgrove grającą główną rolę, Carly Shay. Przyjaźń i wsparcie Mirandy było kluczowe w życiu prywatnym Jennette. W 2013 roku dziewczyna dostała, główną już rolę w serialu „Sam & Cat”. Grała w nim przyjaciółkę Cat Valentine, którą grała Ariana Grande. Aktorki jednak nie dogadywały się na planie, w grę wchodziła kwestia zarobków i rozwijającej się kariery muzycznej tej drugiej. Prawdopodobnie z tych względów nagrywki trwały tylko przez jeden sezon. W życiu dorosłym Jennette grała jeszcze w innych filmach, m.in. produkcji samego Netflix'a, „Between“, jednak zważając na swoje zdrowie psychiczne, marzenia i sytuację życiową, zrezygnowała. Managerką i najlepszą przyjaciółką Jennette od zawsze była jej mama, Debra McCurdy, która przez całe życie marzyła o zostaniu aktorką. Nigdy jednak nie zdołała zrealizować swoich ambicji, dlatego zamierzała zrobić wszystko, aby jej córka osiągnęła sukces w showbiznesie. Jej partner, który nie był biologicznym ojcem dziewczynki, był zapracowany i nie miał wiele czasu dla rodziny. Jennette uczyła się w domu. Ograniczony kontakt z rówieśnikami i ogrom wspólnie spędzanego czasu sprawił, że między nią a matką narodziła się specyficzna więź. To z jej inicjatywy Jennette została aktorką. Dziewczynka została poddana ogromnej presji związanej z pracą i utrzymywaniem rodziny. Metody wychowawcze Debry były toksyczne. Kobieta zachorowała na nowotwór, gdy Jennette miała zaledwie dwa latka. W obawie o zdrowie córki, kąpała ją i badała w celu znalezienia guzków nowotworowych, od wczesnego dzieciństwa, aż po lata nastoletnie.



Gdy Jennette miała 11 lat, matka zaczęła ograniczać jej jedzenie w celu opóźnienia u niej dojrzewania. Twierdziła, że jeśli córka będzie jeść mniej, dłużej zachowa dziecięcy wygląd, a zatem możliwość odgrywania dziecięcych ról. Dziewczynka kochała mamę, zrobiłaby wszystko, aby ją zadowolić. Kobiety zawarły między sobą swego rodzaju pakt, nawzajem wspierały się w zachowaniach anorektycznych. Debra nie chciała, żeby jej córka się usamodzielniała. Źle zniosła trasę koncertową Jennette, a gdy ta w wieku 20 lat wyprowadziła się z domu, nalegała na ponowne wspólne zamieszkanie. Kiedy przez zdjęcia paparazzich dowiedziała się o wakacyjnym wyjeździe córki z chłopakiem na Hawaje, wpadła w szal. Zaczęła wysyłać jej maile z wyzwiskami, napisała m.in, że ona i bracia Jennette nie chcą mieć z nią nic wspólnego. Wszystko dlatego, że dziewczyna zataiła przed nią wycieczkę i przytyła parę kilogramów. Debra McCurdy zmarła 20 września 2013 przez swą chorobę. Jennette po śmierci matki popadła w alkoholizm i bulimię. W tym okresie wstawiała osobliwe treści na swoje media społecznościowe. Internauci twierdzili, że McCurdy to kolejna dziecięca gwiazda, która zaprzepaściła karierę, nie znali jednak całej historii.

Dzięki swojej ciężkiej pracy, silnej woli i terapii, Jennette wyszła na prostą. Zaczęła realizować swoje własne marzenia. Kobieta od zawsze chciała zostać pisarką. W sierpniu 2022 roku ukazała się jej pełna czarnego humoru i przenikliwych spostrzeżeń na temat życia biograficzna opowieść „Cieszę się, że moja mama umarła”. Mimo jednoznacznego tytułu, Jennette nie wyraża nienawiści do matki. Nie usprawiedliwia jej przemocy i toksycznych zachowań, jednak potwierdza, że Debra sama zmagająca się z wieloma problemami, jednak nigdy mimo nalegania rodziny, nie dała sobie pomóc.

Gabriele Walczak

Początki nowych nawyków – jak skutecznie wprowadzać zmiany

Każdy z nas przynajmniej raz postanowił zmienić coś w swoim życiu. Może chodziło o regularne ćwiczenia, zdrowszą dietę lub naukę nowych umiejętności. Jednak jak często zdarza się, że po kilku dniach lub tygodniach nasze ambitne plany schodzą na boczny tor? Co tak naprawdę sprawia, że rozpoczęcie nowego nawyku bywa tak trudne i jak zrobić to skutecznie?

Na początek warto zrozumieć, dlaczego wprowadzanie nowych nawyków jest wyzwaniem. Nasz mózg dąży do oszczędzania energii i preferuje dobrze znane, utrwalone działania. Nowe nawyki wymagają większego wysiłku i zaangażowania, dlatego często szybko się zniechęcamy, zwłaszcza gdy próbujemy zmienić zbyt wiele na raz. Jak pisze James Clear w książce **Atomowe nawyki**: „Twoje życie to suma twoich nawyków. Jak jesteś zorganizowany, co myślisz każdego dnia, a nawet jak rozmawiasz z innymi – to wszystko jest efektem twoich nawyków”. To właśnie one kształtują nasze codzienne działania i przyszłość.

Kluczem do skutecznego rozpoczęcia nowego nawyku jest prostota. Clear radzi, by zacząć od małych kroków: „Jeśli chcesz coś zmienić, zacznij od małego kroku – najlepiej takiego, który zajmuje dwie minuty”. Zamiast od razu planować ambitne zmiany, które mogą być przytłaczające, lepiej zacząć od czegoś prostego i łatwego do wykonania. Na przykład, jeśli marzysz o bieganiu, nie planuj od razu pięciokilometrowego biegu. Zacznij od krótkiego, pięciominutowego spaceru.



Kolejnym krokiem jest jasne i konkretne określenie celu. Nowy nawyk łatwiej utrwalić, gdy dokładnie wiesz, co chcesz osiągnąć i jak to zrobić. Zamiast mówić: „Chcę być w lepszej formie”, lepiej postanowić: „Będę ćwiczyć 10 minut każdego dnia po szkole”. Charles Duhigg w **Sile nawyku** zwraca uwagę, że „ludzie, którzy odnoszą sukcesy, przekształcają niejasne postanowienia w konkretne kroki. Wiedzą, kiedy, gdzie i jak wykonają swoje działania”. Konkretność pomaga utrzymać motywację i zwiększa szanse na sukces. Jednym z najlepszych sposobów na wprowadzenie nowego nawyku jest „habit stacking”, czyli łączenie nowego działania z już istniejącym nawykiem. Clear wyjaśnia: „Najlepszym sposobem na stworzenie nowego nawyku jest powiązanie go z nawykiem, który już istnieje. To jak podczepienie nowej czynności do czegoś, co już znasz”. Na przykład, jeśli codziennie myjesz zęby, możesz dodać nowy nawyk – wypicie szklanki wody zaraz po tym. Łączenie nowego działania z już zakorzenionym nawykiem ułatwia jego wprowadzenie do codziennej rutyny.

Nieodłącznym elementem budowania nawyków jest znalezienie odpowiedniego wyzwalacza, który uruchamia nowe działanie. Wyzwalacz to bodziec, który przypomina o nawyku – może to być konkretna pora dnia, miejsce lub inna czynność. Duhigg w **Sile nawyku** podkreśla, że „wyzwalacz to klucz do zrozumienia, jak działa nawyk. Kiedy znajdziesz ten bodziec, zrozumiesz, dlaczego postępujesz w określony sposób”. Przykładowo, jeśli chcesz medytować, możesz to robić po powrocie ze szkoły, co stanie się twoim codziennym wyzwalaczem. Powtarzalność bodźca sprawia, że mózg automatycznie reaguje na wyzwalacz, czyniąc nowy nawyk łatwiejszym do utrzymania. Nagrody także odgrywają kluczową rolę w procesie budowania nawyków. Każdy nawyk opiera się na pewnej pętli – wyzwalacz, rutyna, nagroda. Jak wyjaśnia Clear: „Gdy twój mózg zaczyna kojarzyć działanie z pozytywną emocją, staje się bardziej skłonny do jego powtarzania”. Nagroda nie musi być materialna – może to być chwila relaksu lub satysfakcja z dobrze wykonanego zadania. Ważne, aby pozytywne. Wprowadzanie nowych nawyków to proces, który może wiązać się z trudnościami, a motywacja nie zawsze będzie na tym samym poziomie.

Jak pisze Duhigg: „Największym wrogiem nawyku jest zniechęcenie. Ludzie często się poddają, gdy popełnią jeden błąd, ale sukces polega na tym, by powstać po każdej porażce”. Nawet jeśli pominiesz jeden dzień, ważne jest, aby szybko wrócić do swoich postanowień. Przewidywanie trudności to również sposób na przetrwanie kryzysów motywacyjnych. Clear radzi, by uprościć nawyk w trudnych momentach. Na przykład, kiedy po szkole czujesz się zmęczony, zamiast rezygnować z ćwiczeń, wybierz łatwiejszą formę aktywności, jak krótki spacer.

Rozpoczynanie nowych nawyków nie musi być trudne, jeśli podejmiemy do tego z planem. Kluczem jest zaczynanie od małych kroków, wyznaczanie jasnych celów, tworzenie wyzwalaczy i nagradzanie się za postępy. Jak przypomina James Clear: „To, kim jesteś, jest prostą sumą twoich codziennych nawyków”.

Hubert Sędzicki



Niespodziewane zakończenia

Koniec bardzo często jest bolesny.

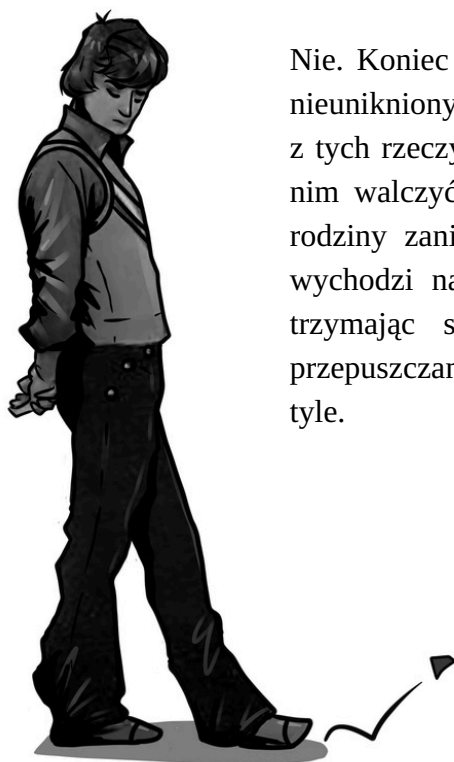
Zdarza się wprawdzie, że samo zakończenie spraw, prowadzi do czegoś lepszego, długo wyczekiwanego. Jednak etap kończenia czegoś, co do niedawna było nam bliskie jest z reguły przygnębiający. Człowiek jest wtedy wyrwany z komfortu rutyny, wystawiony na zupełnie nową sytuację, do której nie zdążył się jeszcze przystosować.

My, jako ludzie, zazwyczaj jesteśmy w stanie zapobiec nagłym i bolesnym zakończeniom. Na przykład poprzez wejście w inne środowisko, przygotowanie się psychicznie lub rozpoczęcie nowego etapu w życiu. Są jednak sytuacje niezależne od nas. Takie, nad którymi nie mamy kontroli, przez co potrafią nas zaskoczyć. Śmierć bliskiej osoby, nagłe zerwanie związku lub zwolnienie z pracy w której przecież wszystko układało się dobrze.



Czy możemy zatem wyeliminować te boleśniejsze, niespodziewane zakończenia?

Nie. Koniec pewnego etapu, etapu w którym do niedawna trwaliśmy komfortowo, jest nieunikniony. Spotyka każdego z nas i jest zupełnie naturalny. Cierpienie należy do jednej z tych rzeczy, które zostaną przy człowieku aż do śmierci. Dlatego zamiast próbować z nim walczyć, należy zaakceptować jego nadejście. Cieszyć się ze związku, pracy lub rodziny zanim nadejdzie ich koniec. Dlatego w tym przypadku, płynięcie z nurtem wychodzi nam na lepsze oraz pozwala żyć chwilą. Walcząc z prądem i kurczowo trzymając się tego, co już odeszło będziemy żyli przeszłością, nieświadomie przepuszczamy teraźniejszość przez palce. Gdy świat idzie do przodu, my zostajemy w tyle.



Wiktoria Baranowska



Wakacje, wakacje i po wakacjach

Każdego roku, gdy tylko na niebie zaczyna być mniej chmur i coraz częściej oglądać można słońce w pełnej okazałości, a gałęzie drzew ponownie obsypują się zielonymi liśćmi, w trakcie lekcji coraz więcej tęsknych spojrzeń zaczyna kierować się za okna, zaczyna się odliczanie do wakacji. Praktycznie każdy nie może się ich doczekać, tworzy plany. W ciągu roku szkolnego, gdy brakuje na coś czasu - dawno odkładany serial czy choćby nowe przepisy kulinarne do wypróbowania - często jest to pozostawiane właśnie na ten wakacyjny czas. Większość osób na początku ma mnóstwo pomysłów i wiele zaplanowanych aktywności.

Jednak często wraz z nowym rokiem szkolnym przychodzi moment refleksji, kiedy orientują się, że ten czas nie przebiegł dokładnie tak jak to początkowo planowali. I mimo, że zazwyczaj i tak wynoszą z tego okresu piękne wspomnienia i cenne doświadczenia, to wciąż nieprzeczytane książki kurzą się na półce, a dawni znajomi, z którymi chciało się odnowić kontakt, stają się jeszcze dawniejsi. Bez starannego planowania tygodnie mogą szybko minąć, pozostawiając z poczuciem niewykorzystania w pełni swojego czasu. Aby mieć pewność, że wakacje będą zarówno czasem odpoczynku, jak i rozwoju, ważne jest, aby zrównoważyć relaks z działaniem. Trzeba pamiętać, że zarówno dzień przeleżany na hamaku, jak i dzień pełen wyzwań i zadań, to wartościowy czas. Co więc zrobić, by za rok w tej jesiennej porze czuć, że wakacje były świetnie wykorzystane?

1. Ustal swoje wakacyjne cele z dużym wyprzedzeniem

Nie musisz czekać, aż znowu na twojej twarzy zaczną wychodzić piegi od słońca, by zacząć zastanawiać się co chcesz robić w kolejne wakacje. Planować je możesz już teraz, w szare, jesienne dni. Gdy tylko wpadniesz na pomysł czegoś co chciałbyś zrobić wakacyjną porą - zapisz to od razu. Możesz do tego wykorzystać choćby kalendarz. Ważne jest to, by umieścić swoje plany w konkretnym czasie. Zastanów się ile czasu potrzebujesz i kiedy będziesz go mieć. Oczywiście możesz, a nawet powinieneś być elastyczny - jeśli w którymś momencie dojdą nowe plany, choćby wyjazd rodzinny czy trip z znajomymi, możesz przenieść wcześniej zapisane aktywności na inne dni. Nie zapisanie pomysłów grozi tym, że o nich zapomnisz. Natomiast nie umieszczenie ich przy konkretnym dniu w kalendarzu stwarza ryzyko, że pod koniec wakacji zorientujesz się, że twoja lista planów i celów skróciła się jedynie nieznacznie.

2. Rozbijaj swoje cele na mniejsze zadania

Jeżeli planujesz w wakacje nadrobić nie przeczytane lektury i okazuje się, że jest to pięć książek - policz ile stron dziennie będziesz musiał czytać i zapisz to. Następnie ustal kiedy będziesz to robił, np. tuż po przebudzeniu rano lub wieczorem przed snem. Zbudowanie sobie nawyku pomoże ci osiągnąć cel, nie wkładając w to szczególnego wysiłku.

3. Przewiduj nieprzewidywalne

Mając na uwadze, że życie niesie z sobą wiele niespodzianek i zawsze mogą zdarzyć się niespodziewane rzeczy, bądź gotowy na takie sytuacje. Będziesz prowadzić długą rozmowę do białego rana i nie zrobisz planowanych ćwiczeń, które mają przybliżyć cię w wakacje do wymarzonego szpagatu? Nic straconego. Zamiast wieczorem zrób to po przebudzeniu. Aby jak najlepiej wykorzystać wakacje, zadbaj o balans. Szczegółowe planowanie nie oznacza braku przestrzeni dla spontaniczności i luzu. Pozwoli to na zrealizowanie swoich celów mniejszym kosztem. Warto zacząć od zastanowienia się z jakimi zamiarami zaczynałeś minione wakacje i które z twoich celów udało ci się zrealizować. Przemyśl co poszło nie tak w przypadku tych, które nie miały tyle szczęścia i wyciągnij z tego wnioski. Jeżeli w swoim planie chcesz zawrzeć aktywności, które wymagają od ciebie większej dawki motywacji i nie przychodzą ci łatwo, możesz zachęcić się, uwzględniając w swoim planie jakąś „nagrodę”. Na przykład w dzień, w którym planujesz rano intensywną pracę nad jakimś projektem, możesz zaplanować sobie również wolne popołudnie, przeznaczone na relaks, bądź rozrywkę. Do rozpisania swoich planów używaj czegoś, co wiesz, że będziesz miał przy sobie i nie zgubi się w ciągu tygodnia. Całkiem wygodną opcją może być kalendarz lub planner w telefonie, ponieważ masz go zawsze przy sobie. Jeśli jednak jesteś fanem tradycyjnych, papierowych form - nic nie stoi na przeszkodzie, aby to właśnie one stały się twoimi narzędziami do zaplanowania przyszłych wakacji. Już teraz możesz postarać się, by był ich początek pełen pomysłów planów, a ich koniec pełen satysfakcji i dumy.

futur^e



Anna Pachocka

Półproste

Wyjąłem sweter zwinięty w kulkę spod pleców i przesunąłem go, usilnie próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Nogi już miałem kompletnie zdrętwiałe, więc zmieniłem ich ułożenie, kładąc jedną na drugą, oparłem głowę o szybę i zamknąłem oczy. Siedziałem tak chwilę, licząc na to, że uda mi się przespać ostatnie 2 godziny trasy do domu. Jednak pomimo zmęczenia, nie udawało mi się zasnąć. Słuchałem więc tylko szumu samochodu i równych oddechów reszty rodziny, której, w przeciwieństwie do mnie, udało się zapaść w sen. Tylko tata, jako kierowca, siedział w ciszy wpatrując się w drogę. Co jakiś czas słyszalny było słychać odgłos mijającego nas samochodu lub ciężarówki. Przekręciłem głowę, ale znowu nie udało mi się wygodnie ułożyć, więc otworzyłem oczy i zrezygnowałem z prób. Za oknem było już prawie ciemno, chociaż niebo miało jeszcze ostatnie ciepłe barwy po zachodzie słońca, można było dostrzec jeszcze umierający pomarańczowy, który za parę minut stanie się już zapewne pospolitym pospolitym granatowym lub czarnym. Za płotkami drogi były jedynie pola, lub ewentualnie gdzieś w miarę daleko, czasami pojawiało się jakieś drzewo. Czyli nic, na czym można by było skupić swoją uwagę. Z jednej strony było to nudne, ale z drugiej również jakoś dziwnie hipnotyzujące. Jedna lampa mignęła przez mniej niż sekundę. Potem kolejna. I jeszcze jedna. Jest przez moment i już jej nie ma.

Telefon zawibrował w kieszeni, czym wyrwał mnie z zamyślenia. Światło ekranu oślepiło mnie na chwilę, ale przygasilem ekran na minimum, chociaż dalej świecił za jasno jak na moje oczy.

“Nowy podcast w kategorii którą obserwujesz: Filozofia”.

Masz może włączony komputer? Wspaniale. Włącz program do tworzenia rysunków geometrycznych, np w stylu Geogebra i narysuj dwa punkty. Blisko, lub daleko. Może być nawet kilka par. *Możesz* przesuwać się po płaszczyźnie i tworzyć różne rzeczy. Niech powstanie np. długi odcinek AB, może gdzieś poniżej odcinek CD, Niech będzie nawet i dwa razy krótszy. Właściwie to wszystko obojętne, wybierz te, które Ci się najbardziej podobają i na nich skup swoją uwagę. Pozwól, że ja, niezbyt kreatywnie, skupię swoją uwagę na pierwszym - AB.

W prawym dolnym rogu powinieneś mieć dwa symbole + i -.. Jeśli klikniesz minus odpowiednio dużo razy, odcinek który przed chwilą wydawał się rozciągnięty na cały ekran, teraz staje się coraz krótszy. Jeśli Twoje AB jest rozciągnięte wzdłuż lub po przekątnej całego ekranu, to po około szesnastu razach stanie się niemalże punktem. Po 21 kliknięciach A i B zleją się w jeden.

Niezależnie od tego, ile odcinków narysowałeś na początku i jakiej długości one były, teraz wszystkie wyglądają tak samo, prawda? Co więcej, być może nawet stopiły się przypadkiem z AB.

Takie punkty, odcinki, są trochę jak życie. Niezależnie od tego, jak długie są, czy AB będzie bardziej równoległe do krawędzi ekranu niż powiedzmy KM, czy będzie dłuższe - tak naprawdę po kilkunastu przyciśnięciach myszy wszystkie będą takie same. Będą jednym punktem. Przerazająca idea, prawda? Że gdyby tylko ktoś, chciał spojrzeć na całą płaszczyznę wypełnioną takimi kropkami, to jeśli tylko kliknie na dwie sekundy strzałkę w lewo czy prawo - migniemy mu, jako jeden wśród wielu punktów. I to by było na tyle.

“Ale to było moje życie, przecież wcale nie było krótkie i udało mi się dużo osiągnąć!”. Jasne. Sam widziałeś kropki. Porównywalnie, nie jest to nic specjalnego. Dlatego trzeba uważać z takim patrzaniem. Kiedy nawet stoisz w punkcie A, wypatrujesz najdalszego punktu, końca, to wszystko co przed nim stoi, w jakiś sposób wydaje się... puste? Przecież tak naprawdę biegniesz do czarnej dziury, do końca, całe życie. Kiedy biegniesz, jeszcze jest ok. Bo kiedy biegniesz, nie masz czasu, żeby myśleć o tym, że jest to bezcelowe. Myślisz o tym gdzie chcesz dobiec - “jeszcze jeden kilometr” - nawet jeśli po jego osiągnięciu nic się nie zmieni. Bo zatrzymasz się i zaczniesz się zastanawiać. Po co?

Ale gdyby tak spojrzeć inaczej? Może gdyby zobaczyć, że nasze życie niekoniecznie kończy się po śmierci, zmieniłoby się również spojrzenie... A niezależnie czy wierzysz w życie po śmierci, czy nie, musisz zdawać sobie sprawę, że zostajesz tutaj na tej ziemi jeszcze na długo po pogrzebie, nawet w słowach które gdzieś wypowiedziałeś, a teraz ktoś bezwiednie powtarza....

Czasami myślę sobie, że życie może mogłoby być bardziej jak półprosta? Gdyby nawet ten drobny punkt, który nam powstał przez dużą ilość kliknięć, był jej początkiem... Półprosta, która ma początek w dwóch punktach. Dziwne określenie, wiem. Półprosta zaczyna się w jednym punkcie, wszyscy doskonale o tym wiedzą. Ma początek i nie ma końca. Tak mówili w podstawówce, tak mówili wszędzie.

Ja natomiast często myślę o właśnie takiej formie rysunku. Próbuję sobie wyobrazić jako taką półprostą, która ma początek w jednym punkcie - składającym się z dwóch - A i B. Gdyby ktoś się przyjrzał, odpowiednio przybliżył, mógłby zobaczyć, że w środku “punktu AB” też coś jest. Ale jaka jest to część spośród tej olbrzymiej całości, która wychodzi poza punkt B? Być może żadna.

Ale jest ona niezwykle istotna. Bo teraz, już istniejesz. Teraz, przesuniesz widok ekranu, położysz kamień na pół godziny na klawiszu strzałki - nadal będziesz na monitorze. Teraz istniejesz, nie jako coś chwilowego.

Ale widzisz, gdyby nie ten jeden marny odcinek, nic by nie było. Półprosta bez początku, nie jest prostą. Jest niczym. Tak naprawdę jesteś o wiele więcej niż początkiem w A i śmiercią w B. Co to oznacza?

To może oznaczać tyle, że jeśli tak jest, nie musisz upatrywać sensu bycia tutaj, na tej Ziemi, kiedy na razie jedyne co widzisz, to gdy się odwrócisz - bramy początku a gdy patrzysz przed siebie, wrota końca, które zasłaniają wszystko co dalej.

Może nie wszystko znaczenie w trakcie trwania. Może jesteś w stanie dostrzec je dopiero później, kiedy jest już “po wszystkim”. Bo na razie nie wiesz, co jest za punktem B. Gdzie, co, przetnie się z czym. Na razie nie wiesz, co będzie za nim. Nie jesteś sobie w stanie tego wyobrazić.

Zapewne często będziesz myślał o tym - po co tu jesteś? Może nawet przyjdzie Ci do głowy, że zawadzasz tylko dookoła. Albo dyskomfort życia, ból który czujesz teraz nie jest warty przetrwania, jeśli jedyne co zrobisz to i tak dojdiesz tylko do B. Po nic.

Ja Ci powiem tylko, że może nie jesteś tu z powodów, których jesteś w stanie odnaleźć na swoim punkcie początku. Nie powiem Ci nawet gdzie go znajdziesz. Niestety jestem tylko prostym człowiekiem, który życie widzi jako prostą. Widzisz, może to też jest jedna z prymitywnych cech ludzi, że coś tak skomplikowanego i szczegółowego jak życie, żeby zrozumieć, ogarnąć umysłem, musimy możliwie uprościć do najbardziej łopatologicznego przykładu. Być może właśnie dlatego nie znajdziemy teraz odpowiedzi, bo świat który nas otacza jest tak skomplikowany, że to co widzimy to jedynie szkic, patyczkowy ludek, taki jak rysują dzieci.

Prawdziwej poezji lub muzyki ciężko znaleźć na płaszczyźnie, białej kartce i kilku kreskach. Dlatego zaufaj. Że za punktem B też coś jest. I wszystko wyjaśni się tam, gdzie mózg ludzki nie pojmuje, gdzie wszystkie proste się kiedyś przetną. Kiedyś dojdiesz do punktu w nieskończoności. “

Przetarłem oczy i zamrugałem kilka razy, żeby odgonić problem zamykających się powiek. Byliśmy już bardzo blisko. Nie wiem kiedy zasnąłem kompletnie.

Czy się zgadzałem? Nie wiem. Nie wiem, co konkretnie miał na myśli autor wypowiedzi. Ja sam nie wiem, czy do końca wierzę w życie po śmierci. Myślę, że to że przeminiemy nic nie musi oznaczać. Nie musi znaczyć to, że nie mamy sensu. Tak jak światła. Mignęły mi, podobnie jak odcinki przy przesuwaniu płaszczyzny, ale czy były przez to bezcelowe? Przecież gdyby jednej lub kilku z nich nie było w jednym miejscu, ten punkt drogi mógłby stać się mocno niebezpieczny. Może ten sens też jest tu na ziemi, ale jest tak złożony, że nie jesteśmy w stanie go znaleźć? Albo przynajmniej bardzo ciężko. Tak jak komórka gdyby umiała myśleć. stwierdziłaby, że jej celem życiowym jest np. filtrowanie wody i to jest jej główny powód istnienia. I owszem, poniekąd ma rację. Ale myślę, że gdyby miała świadomość i byłaby w stanie odkryć czemu właściwie jest, i to co robi jest tylko małą częścią, większego, nadrzędnego celu, jakim jest życie wspaniałego człowieka, byłaby co najmniej zdziwiona. Ale nie może tego wiedzieć. Zapewne nie byłaby sobie w stanie tego wyobrazić.

Czułem spokój, kiedy mijałem znajome już mi drzewa, budynki. Tym razem w innym przystrojeniu, w żółtym świetle lamp, przykryte ciemnością wyglądały zupełnie inaczej. Ale mimo to znajomość tego wszystkiego bardzo mnie ukołysa. Wyjąłem słuchawki i przyjemny dźwięk jadącego samochodu wrócił.

Zakręć w lewo. Forty Bema po prawej, mój przystanek do szkoły pusty, z lewej strony.

Moja siostra obok przekreśliła się i miś, którego obejmowała ramionami wypadł jej na ziemię, prawie pod fotel. Bez świadomości, zaczęła się wiercić.

Włożyłem jej misia pomiędzy drobne rączki i nóżki, tak że mogła się oprzeć o niego głową. Jaśniutki kosmyk wypadł jej zza ucha i zasłonił twarz, ale zobaczyłem, jak uśmiechnęła się szeroko przez sen. Ścisnęło go mocniej, nie wiem czy podświadomie i zastygła.

I tak sobie patrząc na nią, jak na dziecko, które jest w stanie być szczęśliwe nie znając celu, przyszło mi do głowy, że chyba nie chcę teraz filozofować. Może czasami trzeba po prostu... Żyć?

Milena Kwiatkowska

Labirynt bez końca

Cisza. Mrok. Zło. Te trzy potęgi panowały w podziemiach od zarania dziejów. Jest to królestwo sił okrucieństwa, strachu i chaosu zamieszkane przez przeklęte dusze nikczemnych śmiertelników. Mimo powszechnego nieładu znalazło się miejsce na tradycję, jednodniowe święto, w trakcie którego miał zostać wybrany nowy przywódca. Gdy nadszedł ów dzień ciszę przerwały rozlegające się dźwięki, z początku subtelne, lecz stale przybierające na sile. W grocie rozbrzmiewały spotęgowane przez echo szepty. Nastał czas zmian, wybór nowego przywódcy. Potępione zjawy zebrały się w jednym miejscu tworząc okrąg. Niemalże wtapiały się w ciemność, albowiem wyglądały niczym ożywione cienie, razem zgromadzone przywodzące na myśl wrzącą smołę. Turniej niebawem miał się rozpocząć. To on rozstrzygnie, kto zostanie władcą przeklętych dusz. Z ciemności błysnęło złote światło. Szepty umilkły. Właśnie dotarł. Niegdyś honorowy rycerz uniósł wyżej spowity płomieniami miecz. Rozległ się huk zwiastujący przybycie uprzedniego przywódcy. Wojownik od dawna czekał na tę chwilę.

Postać zbudziła się z głębokiego snu. Jej spojrzenie padło na śnieżnobiały i, jak zdołała się już wcześniej przekonać, wytrzymały sufit. Na chwilę pograżyła się w odmętach swej mrocznej przeszłości. Wstała z łóżka odrzucając energicznie na bok grubą, wypchaną miękkim pierzem kołdrę. Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Jej spojrzenie padło na podłogę pokrytą niemal na całej powierzchni szkarłatnym, przeplatany złotymi wzorami perskim dywanem. Następnie przeniosła je na niczym nie wyróżniające się lustro oprawione w prostą drewnianą ramę. Zmierzyła wzrokiem puste biurko oraz stojące obok niego krzesło z wygodnymi podłokietnikami. Pomieszczenie nie różniło się od pozostałych, w których zmuszona była dotychczas nocować.

Postać niespiesznie podeszła do grubych drzwi. Lekko nacisnęła klamkę w kształcie liścia akantu i uchyliła je. Udała się do innego pomieszczenia.

Miało ono znacznie większe rozmiary od poprzedniego. Zdawało się wręcz nie posiadać jakichkolwiek granic. Pokój wypełniały liczne sięgające sufitu regały pełne podobnych ksiąg. Tomy nie miały wygrawerowanych tytułów, lecz na ich grzbietach znajdowały się dwie cienkie złote linie, jedna usytuowana na górze, a druga na dole. Egzemplarze były średnich rozmiarów oraz zbliżonej grubości. Różniły się od siebie jedynie kolorem skóry, w którą zostały oprawione. Jedne pyszniły się szkarłatem, drugie głębią morza, inne zielenią letnich lasów. Miejsce wśród różnorodnych odcieni tych barw odnalazł również brąz, rzadziej czerń, biel oraz żółć. Istota ucieszyła się, albowiem gdyby przez wieczność miała szukać wyjścia, to przynajmniej nie będzie tym pobytem znużona.

Wtem usłyszała nieprzyjemny dla ucha zgrzyt oraz ciche szepty. Gwałtownie odwróciła się i w ostatniej chwili spostrzegła, jak drzwi wtapiają się w ścianę. Był niewzruszony tym faktem przeniósł wzrok na sięgające sufitu regały. Zatrzymał się przy jednym z mebli i uważnie spojrzał w obie strony. Wyciągnął rękę. Z niebywałą delikatnością wziął książkę. Ostrożnie ją otworzył. Nie posiadała tytułu tak jak pozostałe, aczkolwiek istota się tym nie przejęła. Przewróciła lekko połówką tudzież przyjemną w dotyku kartkę. Przyjrzała się następnej stronie w oczekiwaniu na jakikolwiek tekst, ale ogarnęło ją rozczarowanie. Była pusta. Przekręciła kolejną kartkę i następną, lecz nie dostrzegła tekstu. Zawiedziona oraz zainteresowana zarazem przejrzała całą pustą księgę. Po chwili odłożyła ją na miejsce. Sprawdziła kolejną, która również była wolna od wszelkiego rodzaju liter.

Poczęła przeglądać wszystkie tomy w poszukiwaniu treści. Gdy zawartość ksiąg stojących na wspólnej półce nie była jej obca wiedziała, że raczej nie umili sobie czasu lekturą. Postać odłożyła ostatnią z nich.

Przeszła na drugą stronę regału, również przepełnioną. Tym razem nie podjęła się sprawdzenia tomów. Szła niespiesznie otoczona księgami. Jej kroki dudniły złowrogo o drewnianą podłogę mącąc ciszę i stopniowo niknąc w oddali. Wtem byt spostrzegł coś intrygującego.

Był to przytulny zakątek usytuowany przy ścianie, niedaleko korytarza, który prowadził do jeszcze większej liczby pokoi. Niedaleko wisiało lustro obramowane misternie zdobionym drewnem. Naprzeciw niego znajdowały się skórzane fotele oraz sofy ułożone w podkowę. Na środku stał niewielki okrągły stolik przykryty białym kwadratowym obrusem a na nim wazon z czerwonymi kwiatami. Gdyby istota przebywała w domu śmiertelnika, to uznałaby, że ktoś tu mieszka, albowiem świeżo zerwane kwiaty pyszniły się swymi delikatnymi płatkami, roztaczając wokół słodką woń a woda wypełniała błękitny wazon aż po brzegi. To wskazywało na czyjąś obecność, lecz istota wiedziała, że ten dom nie miał gospodarza. Był inny od pozostałych. Zdawał się mieć samoświadomość, inteligencję, a co najgorsze, swoje humory.

Spojrzenie bytu padło na niewielki kominek. Postać podeszła do niego, lecz szybko spostrzegła, iż został zamurowany. Westchnęła. Do jej uszu dobiegło skrzypnięcie, które przecięło ciszę niczym ostry miecz. Podłoga zachybotwała się a deski tak zatrzęszczały, jakby miały zaraz pęknąć. Uznała to za śmiech. Zdążyła się już przyzwyczaić do podobnych psot budynku, lecz wciąż ją drażniły. Odwróciła się i spojrzała na stolik. W tym czasie płatki zdołały zmienić swą barwę na białą, za to wazon nie miał już odcieni morskiej toni a kolor śniegu. Obok niego, na skraju stolika znajdował się niewielki talerz z ciasteczkami ułożonymi w piramidę oraz szklanka mleka, z której jeszcze unosiła się para.

Postać podeszła bliżej i zbadła podarek pod kątem zawartości różnych niechcianych substancji. Jedzenie nie zostało wzbogacone trucizną czy też eliksirem, tak jak każdy posiłek pojawiający się w tej budowli. Miała już dość tych niespodzianek.

Poza tym nie chciała już widzieć preferowanych przez budynek deserów. Pragnęła mięsa.

Odłożyła podniesione wcześniej z talerza ciasteczko na miejsce. Zerknęła na mleko, lecz to nie wzbudziło w niej zainteresowania. Podeszła do lustra odwracając wzrok od niego najdalej, jak tylko mogła. Nie patrząc na swe odbicie ostrożnie przechyliła zwierciadło. Nie skrywało ono za sobą żadnego tajemnego przejścia, tak jak z resztą mogła się tego spodziewać. Rozluźniła uchwyt, a lustro wymknęło jej się z palców. Nie zdołała odwrócić wzroku. Ujrzała swoje odbicie.

Byt w ślepej furii uderzył w zwierciadło. Szkło pękło na kilkaset ostrych odłamków, które z brzękiem spadły na podłogę. Stał długo tonąc we wspomnieniach tego, co z nim uczyniono oraz tego, co on uczynił innym. Gdy jego myśli wróciły do terażniejszości spojrzął na popękane szkło. Istota odwróciła się. Poszła dalej przed siebie zostawiając za sobą niemalże niewidoczne na ciemnej podłodze ślady prawie czarnej krwi.

Szła niespiesznie korytarzem przechodząc obok niezliczonych drzwi oraz oświetlających drogę wątlm, lecz ciepłym blaskiem świec. Po pewnym czasie postać stwierdziła, iż czas spojrzeć, co skrywają mijane przez nią pomieszczenia. Z rozmachem otworzyła najbliższe jej drzwi.

Pokój miał niewielkie rozmiary. Wyglądał on niemal identycznie jak ten, w którym uprzednio odpoczywała. Jediną różnicą były znajdujące się na prawo ciemne drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju. Bez większego zastanowienia przeszła przez nie. Kolejne pomieszczenie wyglądało tak samo. Ruszyła do znajdującego się na prawo przejścia. Otworzyła szeroko drzwi i zamarała.

Prowadziły one do kolejnego pokoju, co było niemożliwe. Wróciła do pierwszego pomieszczenia. Nacisnęła lekko klamkę i wyjrzała za ścianę. Ujrzała po drugiej stronie kolejne jednakowe pomieszczenie. Zatrzasnęła drzwi i usiadła na łóżku pogrążając się w rozmyślniach. Spojrzała na wilgotną od posoki rękawicę. Zacisnęła ranną dłoń w pięść, z której począł unosić się dym.

Ramię przeszył silny ból. Opary z początku miały kruczoczarne zabawienie, lecz wkrótce rozjaśniły się. Postać rozprostowała palce i dokładnie obejrzała swoje obrażenie. Krew zniknęła a jedynymi śladami po ranie był uszkodzony materiał, przez który mogła zobaczyć swoją obecną formę. Po chwili dłoń ponownie została spowita przez jasne opary. Gdy istota uznała, że wystarczy, zamachała nią kilkakrotnie rozwiewając dym. Materiał nie miał na sobie żadnej skazy.

Przyglądała się rozpływającym w powietrzu smugom coraz intensywniej odczuwając nudę. Wstała i zajęła miejsce przy biurku. Machnęła ręką a obok niej pojawił się jej najcenniejszy skarb - stara, niepozorna torba. Ostrożnie otworzyła ją a następnie wyciągnęła swój gruby dziennik oraz ozdobne ptasie pióro nieskalane atramentem, lecz pozostawiające po sobie wyraźny ślad na jakiegokolwiek powierzchni, stworzone przez nią z kaprysu. Zamknęła torbę, po czym rozłożyła się wygodnie na krześle. Otworzyła księgę dokładnie tam, gdzie chciała. Już miała zacząć pisać, lecz zatrzymała pióro kilka milimetrów nad pożółkłym papierem. Zaczęła się zastanawiać, który dzień był dzisiaj. Zerknęła stronę wcześniej, po czym zapisała:

Dzień 527483

Nic się nie dzieje.

Nie wiedząc, jakie inne myśli przelać na papier, poczęła

dziennik. Gdy to robiła, kartki trzymane w jej lewej dłoni zdawały się nie kończyć a ich plik po prawej wcale nie stawał się grubszy. Dzięki tej drobnej sztuczce mogła mieć tyle stron, ile zapragnęła bez zabierania miejsca. Czasem byt zatrzymywał się przy fragmentach, gdzie rozpisywał się na temat przebiegu wojen, małych pojedynków lub na losowych stronach, gdzie znajdowało się dużo tekstu. Przypomniły mu się lasy, przyjemny powiew wiatru, samotne loty w nocy lub za dnia z towarzyszami. Odczuł silną tęsknotę za tymi pełnymi uroku chwilami.

Wtem natknął się na wpis, który pochodził jeszcze z dni, gdzie swoje odkrycia dotyczące różnych dziedzin magii nie zapisywał w osobnych księgach a właśnie w tym dzienniku. Odłożył pióro na miejsce i począł uważnie śledzić tekst. Wpadł na pomysł, jak wydostać się z tego więzienia. Uśmiechnąłby się, gdyby mógł.

Staszic Ocenia

Interstellar

Bartłomiej Stypiński

Reżyseria: Christopher Nolan

Rok wydania: 2014

Gatunek: Sci-fi, Dramat

"Interstellar" to epicki film, który wciąga widza w głęboką refleksję nad istnieniem, miłością i naszym miejscem we wszechświecie. Reżyser Christopher Nolan po raz kolejny udowadnia, że potrafi łączyć science fiction z emocjonalnym ładunkiem, tworząc dzieło, które zostaje w pamięci na długo.

Akcja filmu toczy się w niedalekiej przyszłości, w czasach, gdy Ziemia staje się coraz mniej przyjazna dla życia z powodu katastrof ekologicznych. Grupa astronautów, kierowana przez Coopera (Matthew McConaughey), wyrusza w niebezpieczną misję do odległych planet, aby znaleźć nowy dom dla ludzkości. To poszukiwanie nowych początków staje się centralnym motywem filmu.

Motyw początku manifestuje się nie tylko w kontekście odkrywania nowych światów, ale również w osobistych relacjach. Wątek między Cooperem a jego córką Murph (Jessica Chastain) jest głęboko emocjonalny i pokazuje, jak miłość i poświęcenie mogą przetrwać nawet w najtrudniejszych okolicznościach.

Ich relacja staje się kluczowym elementem fabuły, prowadząc do refleksji na temat tego, co naprawdę jest ważne w życiu.

Z drugiej strony, film zadaje pytania o koniec – nie tylko o potencjalne wyginięcie ludzkości, ale także o osobiste straty, które bohaterowie muszą znosić. Te dwa motywy – początek i koniec – są splecione w sposób, który skłania widza do przemyśleń na temat cyklu życia i relacji międzyludzkich.

Wizualnie "Interstellar" jest uczłą dla oczu. Efekty specjalne, które przedstawiają podróże przez czas i przestrzeń, są oszałamiające i tworzą niepowtarzalny klimat. Muzyka Hansa Zimmera doskonale podkreśla emocjonalne napięcie filmu, dodając głębi i intensywności poszczególnym scenom.

Podsumowując, "Interstellar" to film, który łączy naukę z emocjami, poruszając tematy ważne dla każdego widza. Nolan w mistrzowski sposób angażuje nas w podróż, która zmusza do refleksji nad naszymi własnymi początkami i końcami.

Moja ocena: **9/10**. "Interstellar" to niezapomniana podróż, która skłania do zastanowienia się nad naszym miejscem we wszechświecie i wartością relacji międzyludzkich. To dzieło, które na pewno warto zobaczyć i przemyśleć.



